Nr. 49. Sobota dnia 6-go grudnia 1913.

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę drugą Adwentu.

LEKCYA

św. Pawła do Rzymian rozdz. XV, wiersz 4—13.

Bracia! Cokolwiek napisano, ku naszej nauce napisano, byśmy przez cierpliwość i pociechę pisma nadzieję mieli. A Bóg cierpliwości i pociechy niech wam da, abyście jednoż między sobą rozumieli wedle Jezusa Chrystusa, abyście jednomyślnie, jednemi usty czcili Boga i Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa. Przeto przyjmujcie jedni drugich, jako i Chrystus przyjął was ku czci Bożej. Albowiem powiadam wam, iż Jezus Chrystus był sługą obrzezania dla prawdy Bożej, aby utwierdził obietnice ojców, lecz poganie, żeby za miłosierdzie czcili Boga, jako napisano. Dlatego będę wyznawał między pogany, Panie: i będę śpiewał imieniowi Twemu. I zasię mówi (pismo): Weselcie się poganie z ludem jego. I zasię Izajasz mówi: Będzie korzeń Jessego, a który powstanie panować nad pogany; w tym poganie nadzieję pokładać będą. A Bóg nadziei niech was napełni wszelakiej radości i pokoju w wierzeniu, abyście obfitowali w nadziei i w mocy Ducha świętego!

EWANGELIA

u św. Mateusza, rozdział XI, wiersz 2—10.

Jan usłyszawszy w więzieniu dzieła Chrystusowe, posławszy dwóch z uczniów swoich, rzekł mu: „Tyś jest, który masz przyjść, czyli inszego czekamy?" A odpowiadając Jezus, rzekł im: „Szedłszy odnieście Janowi, coście słyszeli i widzieli. Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim ewangelię opowiadają. A błogosławiony jest, który się ze Mnie nie zgorszy". — A gdy oni odeszli, począł Jezus mówić do rzesz o Janie: Coście wyszli na puszczę widzieć? Trzcinę chwiejącą się od wiatru? Albo coście wyszli widzieć? Człowieka w miękkie szaty obleczonego? Oto którzy w miękkie szaty się obłoczą, w domiech królewskich są. Ale coście wyszli widzieć? Proroka? Zaiste powiadam wam, i więcej niż proroka. Bo ten jest, o którym napisano: Oto Ja posyłam anioła Mego przed obliczem twojem, który zgotuje drogę twą przed tobą.

NAUKA.

Najmilsi! Ewangelią o sądzie ostatecznym, nad którą zastanawialiśmy się zeszłej niedzieli, przeraził Kościół św. serca nasze, aby je łatwiej w tym czasie adwentowym do pokuty nakłonić. Jak bowiem Pismo św. poucza: „Bojaźń Pańska wypędza grzech" a „kto bez bojaźni jest, nie będzie mógł być usprawiedliwiony" (Estyk. I, 27, 28). Dziś zaś i przez dwie jeszcze niedziele czyta nam Ewangelia o św. Janie Chrzcicielu, poprzedniku Chrystusa. A piękna w tem jest myśl tej Matki naszej duchowej, Kościoła. Jako bowiem niegdyś przygotowując żydów na przyjście Zbawiciela święty ten mąż i życiem swojem surowem i słowy nieustraszonemi do pokuty za grzechy ich wzywał, tak pragnie Kościół św., aby niejako i do nas, co przez ten adwent na drugie przyjście Chrystusa Pana przy końcu świata przygotować się mamy, zawołał: „Gotujcie drogę Pańską"! (Mar. I, 3) „Czyńcie pokutę!" (Mat. III, 2). Opowiada św. Marek ewangelista, że na ten głos Jana Chrzciciela „wychodziła do niego wszystka kraina żydowskiej ziemi i Jerozolimczycy wszyscy i byli od niego chrzceni spowiadając się grzechów swoich" (Mar. I, 5). Wynijdźmy i my w duchu do Niego, przyglądnijmy się temu mężowi świętemu, odzianemu siercią wielbłąda i przepasanemu pasem skórzanym, posłuchajmy, co o Nim mówi Ewangelia dzisiejsza, abyśmy nakłoniwszy ucha na głos wołania Jego, do pokuty prawdziwej się wzięli.

Nietylko surowych obyczajów, ale i wielkiej gorliwości mężem był św. Jan Chrzciciel. Wielkość tę Jego zapowiadały już cuda, które się działy przy Jego narodzeniu, tak że wszyscy, którzy o nich słyszeli, zdumiewali się mówiąc: „Co mniemasz za dziecię to będzie?" (Łuk. I, 66). Narodził się bowiem z podeszłych wiekiem rodziców Zacharyasza i św. Elżbiety. Nim przyszedł na świat, już przedtem łaską Bożą uświęcony został, a kiedy dnia ósmego nadawano mu imię, ojciec Jego niemy od chwili, kiedy miał anielskie widzenie, naraz przemówił i napowrót mowę odzyskał. Wyrósłszy na męża, kiedy się zbliżał już czas publicznego działania Chrystusa, Jan św. poszedł nad rzekę Jordan i tam karząc występki, wzywał wszystkich, co przychodzili do Niego, aby czynili pokutę i przez nią przygotowali serca swoje dla Zbawiciela. Nie oglądał się na osoby. Słowa prawdy mówił tak rzeszom ludu, jak faryzeuszom, celnikom i Herodowym żołnierzom. Nie oszczędzał nawet jego samego. I dlatego „Heród tetrarcha będąc strofowany od Niego o Herodyanę, żonę brata swego i o wszystkie złości, które czynił, zamknął Jana w ciemnicy" (Łuk. III, 19, 20). Lecz i w więzieniu nie zapomniał Jan św. o posłannictwie swojem. Wprawdzie nie mógł On już upominać licznych rzesz ludu, jak przedtem nad Jordanem, kiedy to wołał: „Gotujcie drogę Pańską, czyńcie proste ścieżki Jego" (Łuk. III, 4), ani też nie mógł ukazywać im Zbawiciela, mówiąc: „Oto baranek Boży" (Jan I, 29), czynił jednak, ile potrafił. Odwiedzany we więzieniu przez uczni i zwolenników swoich, wypytywał ich pilnie o Pana Jezusa. Radością napełniało się serce Jego, gdy Mu opowiadali, jak to tysiące ludu otacza Zbawiciela codziennie, jak słuchają Jego nauki, jak szczególniej liczne cuda Jego z każdym dniem coraz więcej jednają Mu zwolenników. Nie uszło jednak Jego uwagi, że przywiązani zbytnie doń zwolennicy dawni nie chcieli się przyłączyć do uczni Jezusowych. Owszem z pewną zazdrością Mu donosili: „Rabbi.

który z tobą był za Jordanem, ten oto chrzci, a wszyscy idą do niego" (Jan III, 26). By zatem i tych, co poszli za wezwaniem Jego i Jego wiernymi uczniami zostali, Jezusowi oddać, wysyła ich do Niego i poleca im się Go spytać: „Tyś jest, który masz przyjść, czyli inszego czekamy?" (Mat. XI, 3). Chciał bowiem, by się naocznie przekonać mogli, że Pan Jezus jest prawdziwym Mesyaszem, którego cały rodzaj ludzki wyglądał.

Jakiż tu piękny mamy wszyscy przykład tej gorliwości o chwałę Bożą i o zbawienie bliźnich! Nawet więzienie nie zdołało Jana św. w tym zapale powstrzymać. Jakimże wstydem słusznie zapłonąć powinni ci, którzy dla małej przeciwności zaniedbują i opuszczają obowiązki swoje. Dla nas nie potrzeba więzienia, nam często nawet uśmiech złego człowieka wystarcza, by nie mówić pacierza, nie pójść na Mszę św., nie wpisać się do bractwa.

Tu się dalej mają uczyć rodzice, przełożeni i wszyscy, którym jest powierzone wychowanie drugich, jak dbać powinni o to, aby oddani im w opiekę poznali Pana Boga, nauczyli się prawd wiary św. i obowiązków, które z niej płyną, jak ich zawczasu powinni do Jezusa prowadzić. Mało było św. Janowi Chrzcicielowi, że sam znał Zbawiciela i w Niego wierzył, On pragnął, by i uczniowie Jego Pana Jezusa poznali i uwierzyli w Niego.

Pan Jezus bawił właśnie w okolicy miasteczka Naim. Wskrzeszenie młodzieńca, jedynaka matki wdowy, zgromadziło do Niego tłumy ludu. Przyprowadzano też i przynoszono mnóstwo chorych, głuchych ślepych, niemych, kaleki a On skończywszy nauczanie, ze zwykłą Sobie słodyczą jednem słowem uzdrawiał ich i leczył. Na taką chwilę trafili właśnie wysłańcy Jana św. Ze zdumieniem przypatrywali się przez dłuższy czas tym Jezusowym cudom, a kiedy wreszcie Zbawiciel skończył, zbliżyli się do Niego i zapytali, jak im Jan św. polecił. Pan Jezus zrozumiał od razu zamiar Poprzednika Swojego i „odpowiadając rzekł im: Szedłszy odnieście Janowi, coście słyszeli i widzieli: Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim Ewangelię opowiadają, a błogosławiony jest, który się ze mnie nie zgorszy" (Mat. XI, 4—6). Nie mówił wprost: „Jam jest Mesyasz", lecz wskazując na Swoje cuda, które w ich oczach czynił, każe im samym osądzić, co o Nim mają rozumieć. I uwierzyli w Niego, bo widzieli spełnione proroctwo Izajasza, który przepowiadając przyjście Zbawiciela na ziemię, tak o Nim mówił: „Bóg sam przyjdzie i zbawi was. Tedy się otworzą oczy ślepych, i uszy głuchych wtedy otworzone będą, wyskoczy chory jako jeleń i otworzony będzie język niemych (Izaj. XXXV, 5, 6).

Tak to same uczynki Pana Jezusa już wystarczyły, aby w sercach uczni Janowych wiarę zaszczepić, a z twojego życia to chyba gorszyć się tylko każdy niewierzący musi. Bo i jakże mają uwierzyć żydzi, że religia nasza jest prawdziwa, skoro cię widzą, jak ty nie szanujesz niedzieli i święta, jak się upijasz, przeklinasz, Panu Bogu bluźnisz i innych grzechów w ich oczach się dopuszczasz? Jakże się mają twe dzieci grzechu lękać, gdy widzą, że się go ty nie boisz? Jak ci mają uwierzyć, że rodziców należy się szanować, skoro nie słyszą, abyś ty dobre słowo dał ojcu albo matce swojej?

Lecz wróćmy do Ewangelii dzisiejszej. Przekonali się o godności Mesyańskiej Pana Jezusa uczniowie Jana Chrzciciela i tę wiadomość Mu zanieśli. Zapytanie ich jednak mogło w oczach ludu zmniejszyć uczczenie ich mistrza. Jakto? — mogli pomyśleć sobie — to ten, co tak otwarcie świadczył o Chrystusie, co Go Barankiem Bożym nazywał, teraz jest niepewnym i powątpiewa i w swojej wierze się chwieje? By zatem od podobnych sądów fałszywych Jana św. ochronić Pan Jezus, gdy wysłannicy odeszli „począł mówić do rzesz o Janie: Coście wyszli na puszczę widzieć? Trzcinę chwiejącą się od wiatru? (Mat. XI, 7). Przypomina im tę chwilę, kiedy na pustyni do niego spieszyli i mówi: Nie myślcie, że się odmienił. Nie jest on jako trzcina słabym, chwiejnym we wierze. Następnie wskazuje na jego ostrość życia i zapytuje: „Ale coście wyszli widzieć? Człowieka w miękkie szaty obleczonego?" Gdyby był takim jak wy myślicie, nie chodziłby w skórze wielbłądziej, nie mieszkałby na pustyni. „Oto, którzy w miękkie szaty się obłóczą, w domach królewskich są" (Mat. XI, 8). A wreszcie najpiękniejszą oddaje mu pochwałę i jak niegdyś Jan św. o Chrystusie Panu powiedział „Oto Baranek Boży", tak teraz Chrystus Pan o nim mówi: „Oto ten, o którym napisano" u Malachiasza proroka: „Oto ja posyłam anioła mego przed obliczem twoim, który zgotuje drogę twą przed tobą" (Mat. XI, 10).

Piękna i cenna pochwała z ust samego Pana Jezusa dla św. Jana. Któżby i z nas nie pragnął, by go kiedyś tenże Pan Jezus pochwalił? Lecz jeżeli podobnej pochwały pragniemy, jeżeli się nam ona podoba, niechże i życie nasze będzie życiu św. Jana podobne. Dwie szczególniej cnoty Pan Jezus z życia jego podniósł, a mianowicie jego stałość we wierze i umartwienie. Starajmyż się iść za tym przykładem. Bądźmy wytrwałymi, nie dajmy się niczem i nikomu od dobrego odwieść, nie ufajmy też sobie, lecz umartwiajmy ciało nasze i zmysły nasze, a wtedy i nas nie minie zasłużona i obiecana pochwała. Amen.

NA JARMARKU W TYMOWIE.

(URYWEK Z POWIEŚCI REYMONTA „CHŁOPI".)

Jakoż, jeszcze przed świtaniem, że nieledwie po drugich kurach, a już na wszystkich drogach i ścieżkach do Tymowa ruszali się ludzie.

Kto jeno żył, to z całej okolicy walił na jarmark.

Nad ranem upadł mocny deszcz, ale po wschodzie przetarło się nieco, ino niebo było zasnute buremi chmurzyskami, a nad nizinnemi ziemiami, wisiały mgły szare kieby zgrzebne płótna, do cna przemiękłe, i po drogach szkliły się kałuże, a gdzieniegdzie po dołkach błoto chlupało pod nogami.

I z Lipiec wychodzono od wczesnego rana.

Na topolowej drodze za kościołem i hen, aż do lasów, widny był łańcuch wozów toczących się wolno, krok za krokiem, taka ciżba była, a bokami, po obu stronach ino się mieniło od czerwonych wełniaków i białych kapot chłopskich.

Tyla narodu szło, jakby wieś cała wychodziła.

Szli gospodarze co biedniejsi, szły kobiety, szły parobki i dziewczyny, i komornicy też szli, a i biedota sama, najemnicy takoż ciągnęli, bo jarmark to był ten, na którym godzono się do robót i zmieniano służby.

Kto co kupić, kto sprzedać, a jensi byle jarmarku użyć.

Któren wiódł na postronku krowinę albo i ciołaka, kto zaś gnał przed sobą maciorę z prosiętami, co ino pokwikiwały i rwały się tak, że trza je było ciągiem oganiać i stróżować, bych pod wozy nie wpadły; jenszy człapał się na szkapie; drugie oganiały wystrzyżone barany, gdzieniegdzie zaś bieliło się stadko gęsi z podwiązanemi skrzydłami, to grzebieniste koguty wyzierały z pod zapasek kobiecych... A i wozy niezgorzej jechały wyładowane, raz wraz z jakiego półkoszka z pod słomy, wyzierał ryj karmnika i kwiczał, aż gęsi gęgały zestrachane i psy, co szły zarówno z ludźmi doszczekiwać poczynały przy wozach. I szli tak całą drogą, że choć szeroka była, a pomieścić się trudno wszystkim było, że jaki taki schodził na pole w bruzdy.

O dużym już dniu, kiej się tak przetarło na niebie, że ino ino słońca było patrzeć, wyszedł i Boryna z chałupy; przódzi już, bo o świtaniu Hanka z Józką pognały maciorę i podpasionego wieprzka, a Antek powiózł dziesięć worków pszenicy i półkorczyka czerwonej koniczyny. W domu ostawał tylko Kuba z Witkiem i Jagustynka, przywołana, żeby jeść uwarzyła i krów dojrzała.

Witek beczał w głos pod oborą, bo chciało mu się na jarmark.

— Czego się to głupiemu zachciewa — mruknął Boryna, przeżegnał się i poszedł pieszo, bo liczył, że się po drodze przysiędzie do kogo, jakoż i zaraz tak się stało, bo tuż za karczmą dopędził go organista, jadący bryczką w parę tęgich koni.

— Cóż to, na piechty, Macieju?

— La zdrowia... Niech będzie pochwalony.

— Na wieki. Siadajcie z nami, zmieścimy się! — proponowała organiścina.

— Bóg zapłać. Doszedłbym, ale jak powiadają, zawżdy milej duszy — kiej ją wóz ruszy — odrzekł, sadowiąc się na przedniem siedzeniu, plecami do koni.

Podali sobie przyjaźnie ręce z organistami i konie ruszyły.

— A pan Jaś skąd się wziął, to już nie w klasach? — zapytał chłopca siedzącego z parobkiem i powożącego.

— Przyjechałem tylko na jarmark! — zawołał wesoło organiściuch.

— Zażyjcie, francuska... — proponował organista, pstrzykając w tabakierkę.

Zażyli i pokichali solennie.

— Cóż tam u was? Sprzedajecie co dzisiaj?

— Bogać ta nie, powieźli do dnia pszenicę, a kobiety pognały świnię.

— Aż tyle! — wykrzyknęła organiścina. — Jasiu, weź szalik, bo chłodno — zawołała do syna.

— Ciepło mi, zupełnie ciepło, — zapewniał, lecz mimo to, okręciła mu czerwonym szalem szyję.

— Abo to wychody małe? Już nie wiada skąd brać na wszystko...

— Nie narzekajcie Macieju, chwalić Boga, macie dosyć...

— Przeciech tej ziemi nie ugryzę, a gotowego grosza w zapasie niema...

Ale Boryna, nierad tym wypominkom przy parobku, pochylił się szybko i cicho zapytał:

— A pan Jaś, długo będzie jeszcze w klasach?

— Do świąt jeno.

— Wróci do dom, czy też do urzędu pójdzie?

— Mościewy, a cóżby w domu robił na tych pietnastu morgach, a mało to jeszcze drobiazgu!... A czasy ciężkie, jak z kamienia... — westchnęła.

— Bo i prawda, chrztów to ta jeszcze jest dosyć ale co z tego za profit!

— Pochowków nie brakuje przeciech — dorzucił ironicznie Boryna.

— I..! co za pochowki, sama biedota mrze, a ledwie parę razy w rok zdarzy się jakiś gospodarski pogrzeb, z którego coś kapnie.

— A i wotyw coraz mniej, a i targują się jak te żydy! — dorzuciła.

— Z biedy to wszystko idzie i ze złych czasów — usprawiedliwiał Boryna.

— Ale i z tego, że ludzie o zbawienie swoje ani tych w czyścu cstających nie zabiegają. Proboszcz nieraz o tem mówił do mojego.

— I dworów coraz mniej. Dawniej, kiedy się jeździło po snopkach, czy z opłatkami, czy po kolędzie, czy też po spisie — to jak w dym do dworu — nie żałowali i zboża, i pieniędzy, i czapki, i leguminy. A teraz, Boże zmiłuj się, każdy gospodarz się kurczy i jak ci da snopczynę żyta, to pewnie zjedzoną przez myszy, a jak tę ćwiartczynę owsa dosianiesz, to pewnie plew w nim więcej, niźli ziarna. Niech żona powie, jakie mi to jajka dawali latoś za spis wielkanocny — więcej niż połowa była zbuków. Żeby człowiek nie miał tej trochy gruntu, toby jak dziad żebrać musiał — zakończył, podsuwając Borynie tabakierkę.

— Juści, juści... — potakiwał Boryna, ale nie jego tumanić, wiedziałci on dobrze, że organista pieniądze ma i na procenta, albo i na odrobek komornikom rozpożycza, to ino uśmiechał się na te wyrzekania i znowu spytał o Jasia...

— I cóż, do urzędu pójdzie?...

— Co? mój Jaś do urzędu, na pisarka? Nie pomtom sobie od gęby odejmowała, żeby skończył szkoły, nie. -Do seminaryum pójdzie, na księdza...

— Na księdza!

— A bo mu to źle będzie? A bo to którenksiądz ma źle?...

— Pewnie, pewnie... a i honor jest i to, jak powiadają, że kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie... — powiedział wolno i z szacunkiem poglądał przez ramię na chłopaka, pogwizdującego koniom, że to przystanęły nieco dla potrzeby swojej...

— Juści, że księdzem być lepiej, bo to i Panu Jezusowi chwała i ludziom na pociechę — pogłaskał ją chytrze Boryna, bo co się tam miał spierać z kobietą, i całkiem uważnie słuchał jej wywodów, a organista raz po raz uchylał czapki i głośnem: Na wieki! odpowiadał na pozdrowienia wymijanych ludzi. Jechali truchtem i Jasio chwacko wymijał wozy, to ludzi, to inwentarz prowadzony, aż dopadł lasu, gdzie już luźniej było i droga szersza.

Zaraz na skraju dopędzili Dominikową, jechała z Jagną i Szymkiem, a krowa uwiązana za rogi szła za wozem, z którego wyglądały białe szyje gąsiorów, ciegiem syczących jako te żmije.

Pochwalili Boga, a Boryna aż się wychylił przy mijaniu i zawołał:

— Spóźnita się!

— Zdążym na czas! — odkrzyknęła Jagna ze śmiechem.

Skoro tylko wjechali na wyboisty bruk miasteczka, Boryna zesiadł z bryczki i jął dziękować za podwiezienie.

— Pod wieczór wracamy, chcecie, to się przysiądźcie do nas — proponowała organiścina.

— Bóg zapłać, mam przeciech swoje konie. Powiedziałyby, że się do kalikowania godzę, na pomo-

nika organiście... a ja ta nuty nijakiej nie wyciągnę świeców gasić nie nauczny...

Pojechali w boczną uliczkę, a on się zwolna przedzierał przez główną, do rynku, bo jarmark był sielny i choć to jeszcze dość rano, a narodu już się gęstwiło niezgorzej; wszystkie ulice, place, zaułki i podwórza zawalone były ludźmi, wozami i towarem różnym — nic jeno ta wielka woda, do której ciegiem jeszcze, ze wszystkich stron, dopływały nowe rzeki ludzkie i cieśniły się, kolebały, toczyły po ciasnych uliczkach, aże domy się trząść zdały, i rozlewały po wielkim placu klasztornym. Nie wielkie jeszcze po drodze błoto, tutaj bite i rozrabiane tysiącami nóg — było już po kostki i tryskało z pod kół na wszystkie strony.

Gwar już był znaczny, a wzmagał się z każdą chwilą; głucha wrzawa huczała niby bór, kiej morze się kolebała, biła o ściany domów i przewalała z końca w koniec — że tylko niekiedy słychać było ryki krów, to granie kataryniki przy karuzeli, to płaczliwe lamentacye dziadów, albo ostre, przenikające piszczałki koszykarzy.

Jarmark był wielki co się zowie, narodu skupiło się tyla, że i przejść było niełatwo, a już w rynku pod klasztorem, to Boryna przez siłę pchać się musiał, taki gąszcz się czynił między kramami.

Było też tego, było, że ani przeliczyć, ni objąć, gdzieby zaś tam kto poradził.

A najpierwej te płócienne, wysokie budy, co stały wzdłuż klasztoru we dwa rzędy, zapchane całkiem towarem kobiecym — a płótnami, a chustkami, co wisiały na żerdkach i jako te maki były czerwone, że aż się w oczach ćmiło, a drugie zasię całkiem żółte się widziały, a insze buraczkowe... i kto je tam wszystkie spamięta! A dzieuch i kobiet pełno tu przed niemi, że i kija nie było gdzie wrazić — która targowała i wybierała sobie, a drugie aby ino popatrzeć i oczy se ucieszyć ślicznościami.

A potem znów szły kramy, co się aż lśniły od paciorków, lusterek, szychów, a wstążek, a krzyków onych na szyję, a kwiatuszków zielonych, złotych i różnych... a czepków i Bóg ta wie czego jeszcze.

Gdzie znowu święte obrazy przedawali w pozłocistych ramach i za szkłem, że choć stały pod ścianami albo i zgoła na ziemi leżały, a szedł od nich blask, że jaki taki do czapki sięgał i znak krzyża czynił świętego.

Boryna kupił jedwabną chustkę na głowę dla Józki, którą był jeszcze na zwiesnę obiecał dziewczynie za pasionkę, wsadził za pazuchę i jął się przepychać do targowiska świńskiego, co było za klasztorem.

Ale szedł wolno, że to ciżba była sroga i że się popatrzeć było na co.

Gdzie czapnicy pod domami porozwieszali szerokie drabiny, zawieszone od góry do dołu czapkami.

Gdzie znów szewcy tworzyli całą ulicę wysokich kozłów drewnianych, na których zczepione za uszy, wisiały szeregi butów, i takich zwyczajnych, żółtych do smarowania przetopionem sadłem, żeby wody nie puściły, i takich już pod glanc przyszykowanych, i ciżem kobiecych z czerwonemi sznurowadłami a na wysokich obcasach.

A za nimi ciągnęły się rymarze z chomontami na kołkach i uprzężą rozwieszoną.

A potem powroźnicy i ci, co sieci sprzedawali.

I ci, co z sitami po świecie jeździli.

I ci, co z kaszą po jarmarkach się wodzili.

A kołodzieje. a garbarze.

Gdzie znowu krawce i kożuszarze rozwiesili swoje towary, od których bił taki zapach, aże w nozdrzach wierciło; te miały odbyt niezgorszy, że to na zimę szło.

A potem całe rzędy stołów nakrytych płóciennymi daszkami a na nich zwoje kiełbas czerwonych i grubych kiej liny, wały żółtego sadła, boczki wędzone, połcie słoniny, szynki — spiętrzały się na kupach, a gdzie znów na hakach wisiały całe wieprzki wypaproszone i brocząc jeszcze posoką, że trza było odganiać piesków, co się cisnęły.

A wpodle rzeźników, jako to braty rodzone, stali piekarze, i na podesłanej grubo słomie, na wozach, na stołach, w koszach i gdzie się dało, leżały góry bochnów wielkich jak koła, placków żółtych, bułek, kukiełek...

Gdzie zaś i kto przeliczy i spamięta te wszystkie kramy i to, co w nich sprzedawali?...

Były z zabawkami i takie z piernikami, gdzie z ciasta lepione były zwierze różne, a serca, a żołnierze i cudaki takie, że i nie rozeznać bele komu; były takie, gdzie kalendarze, gdzie książki nabożne, gdzie historye o zbójach i srogich Magielonach przedawali i lementarze też; były i takie, gdzie piszczałki, organki i gliniane kuraski i jensze muzyckie rzeczy — w które juchy żółtki la zachęty grali, że taki jazgot się czynił, że i wytrzymać trudno było — bo ci tu kurasek piszczy, tam trąbka potrębuje, gdzie z piszczałek przebieraną nutę wyciągają, tam i znowu skrzypki piskają, a owdzie bęben pobekuje stękający — jaże we łbie łupało od wrzasku.

Zaś w pośrodku rynku dookoła drzew rozciągali się bednarze, blacharze i garncarze, porozstawiali tyle misek i garnków, że ledwie przejść można było, a za nimi stolarze; łóżka i skrzynie malowane, i szafy, i półki i stoły, aże grały temi farbami, że oczy trza było mrużyć...

A wszędy, na wozach, pod ścianami, wzdłuż rynsztoków, gdzie ino miejsca było, rozsiadły się kobiety sprzedające; która cebule w wiankach albo i w workach; która z płótnami swojej roboty i wełniakami; która z jajkami, a serkami, a grzybami, a masłem w osełkach poobwijanych w szmatki; inna znów zasię ziemniaki, to gąsków parę, to wypierzoną kurę, to len pięknie wyczesany albo i motki przędzy miała, a każda siedziała przy swoim i poradzały se godnie, jak to zwyczajnie na jarmarkach bywa, a trafił się kupiec, to sprzedawały wolno, spokojnie, bez gorącości — po gospodarsku, nie tak, jako te żydy, co wykrzykują, handryczą i ciskają się kiej głupie.

Gdzieniegdzie zaś, pomiędzy wozami i kramami kurzyło się z blaszanych kominków — tam sprzedawali gorącą herbatę — a i insze jadło jako to: kiełbasę prażoną, kapustę, barszcz z ziemniakami też mieli.

I dziadów zlało się ze wszystkich stron co niemiara; ślepych, kulawych, niemych i zgoła bez rąk i nóg tyla, jak na odpuście jakim, wygrywali na skrzypicach pieśnie pobożne, drugie śpiewali pobrzękując w miseczki, a wszystkie z pod wozów, z pod ścian i prosto z błocka żebrali lękliwie i wypraszali sobie ten grosik jakiś albo jensze wspomożenie.

(Dokończenie nastąpi.)

